RUCH KULTURALNY

KWARTALNIK — WARSZAWA

NUMER DRUGI. X - XI - XII - 1936

Nasza kultura jutra

Coraz wyraźniej ze wszech stron objawiają się wysiłki poznania istoty obecnego przełomu. Coraz więcej ludzi po przez zasłonę doraźnych wypadków, materialnych przeobrażeń i klęsk, dostrzega, że nie w nich, nie w finansowych załamaniach i politycznych przewrotach tkwi sens wielkiej współczesnej zmiany. Coraz jaśniej przedstawia się oczom, chcącym patrzeć, istotne umiejscowienie źródła, niezgłębionego w treści, zagadkowego w formach, przełomu nowych czasów. Nie zwykłe przegrupowanie zapasów złota, nie rewolucyjne dochodzenie do władzy nowych elementów, nie gospodarcze, ani polityczne przetasowania, stanowią istotę przemijającego dziś i wschodzącego jutra. Łamać się zaczął, by się do reszty przełamać, dzisiejszego świata duch, i z

niego zrodzona kultura. Prawosławny mistyk, wieszcz rosyjski Mikołaj Bierdiajew, widzi, że „kiedy wszystko wydaje się przeżyte i wyczerpane, kiedy ziemia ustępuje tak z pod nóg, jak to się dzieje dzisiaj, kiedy nie ma już nadziei i złudzeń, kiedy wszystko jest odsłonięte i zdemaskowane, — wówczas przygotowuje się grunt do religijnego ruchu na świecie", („Nowe Średniowiecze"). Dzisiejszy przełom, to odrodzeniem religijnym dokonywane odnajdywanie istoty człowieka, zatraconej przez ateistyczne doktryny ostatnich wieków. „Tam gdzie nie ma Boga, nie ma i człowieka". I tu dla Bierdiajewa kończy się przyczyna przełomu, a wszystkie po za społeczne przemiany zdają mu się być skutkami. Ekonomista polski, Feliks Młynarski inaczej patrzy w swym przenikliwym, kapitalnym dla ćwierćwiekowej jego pracy pisarskiej, dziele. Widzi on, że istotą obecnego przełomu jest nieuchronne realizowanie się nowej formy bytowania ludzkiego, zwanej przezeń nacjokratyzmem. „Czy chcemy, czy nie chcemy, jeżeli nie dzisiaj to jutro, zrodzi się państwo nacjokratyczne, zbudowane na zasadzie nadrzędności narodu, i stanie się państwem przyszłości, państwem czasów nowożytnych w ich dalszym biegu przez nikomu nieznaną ilość stuleci," („Człowiek w dziejach"). Wchodzimy w nowy okres rozwoju społecznego, a „wynika to z nieodpartej logiki dziejów, czy ich ducha".

Te wypowiedzi, i filozofa, i ekonomisty, jakże dziwnie odbijają od myśli i haseł, któremi usiłują żyć współczesne nam masy. Obie starają się dociec do istoty *nowej, wyraźnie przeczuwanej, kultury Jutra. Obie jednak, z tak zupełnie różnych źródeł wypływające, w namiętnej analizie zapędzone, zatrzymały się w swym biegu niedokończonym, bo nie zdołały przeforsować szańca* syntezy. *Badając przeszłość i przyszłe odrodzenie duchowe wyczuwając, mówi Bierdiajew: „Żadna ideologia socjalna i polityczna nie otrzyma prawdziwej treści, o ile nie szuka jej ona w życiu duchowym, w podporządkowaniu form socjalnych i politycznych celowi duchowemu". A Młynarski, rozumiejąc nieuchronność przyjścia państwa zorganizowanego narodu, woła: „Bądźmy pierwszymi, którzy wcześniej i lepiej od innych urzeczywistnią koncepcję takiego państwa na szlakach historii".* A synteza *jest przecież po za nimi. Bo synteza to przecież nasz, Ruchu Młodych Bogu podporządkowany Naród Rządzący. Ruch Młodych potrafił odczuć i zrozumieć konieczność religijnego odrodzenia i odpowiedniego w swej hierarchii celów uszeregowania. „Celem najwyższym nie jest żadne dobro ziemskie, lecz jest nim dobro najwyższe — Bóg", (Bolesław Piasecki). Potrafił zespolić uczucia religijne z jedynymi prawdami ziemskimi. „W uznawanej przez nas objektyywnej hierarchii wartością najwyższą jest Bóg; najwyższym celem człowieka jest osiągnięcie szczęścia bezwzględnego zbawienia. Ku temu celowi idzie człowiek przez życie w naturalnym środowisku społecznem — w narodzie", (Wojciech Kwa-*

sieborski). Potrafił ożywić swą hierarchię celów sformułowaniem „Narodu Rządzącego“ (Wojciech Wasiutyński) i rządy narodu zrealizować prawdziwie w koncepcji po za partyjnej, powszechnej, dobrowolnej, hierarchicznej Organizacji Politycznej Narodu. W naszych oczach zarysowuje się kształt nowego życia, nowego ustroju, a przedewszystkiem nowej kultury.

Gdy umysły wybitne trwają w oczekiwaniu zmiany i rozważaniem faktów starają się istotę jej zgłębić, możliwość zrealizowania syntezy nowych czasów spoczywa w naszych rękach, w rękach młodego pokolenia polskiego. Nasz ruch kulturalny, który z dnia na dzień potężnieje, jest ruchem walki o wyrażenie w twórczości polskiej ducha naszych kulturalnych odczuć i przekonań o prawdzie jutra, jest ruchem walki o ducha tego zapanowanie we wszystkich polskich umysłach i sercach. Wszelkie dziedziny twórczości polskiej — oto narzędzia naszej walki. Zespolenie ideałów religijnych z pełnym poczuciem narodowym i narodową świadomością, jako nieodzownymi elementami społecznymi nowych czasów. synteza prawdy, piękna i dobra — oto nasza kultura Jutra.

OLGIERD BOGDAN KRYNICKI

W naszej dyskusji na temat organizacji twórczości i roli twórcy zabiera głos: autor „Prowincji“

JERZY PIETRKIEWICZ

Dzisiejszy pisarz a sztuka narodowa

Trudno się nie zgodzić z tezami artykułu „Podstawy organizacji twórczości kulturalnej“ („Ruch kulturalny“ Nr. 1): mówią one o rzeczach najistotniejszych w twórczości. Doprawdy, bez histerii, nasza współczesność kulturalna w nikłym stopniu pogłębia dotychczasowy dorobek sztuki polskiej. I stąd ważność zagadnienia, postawionego przez „Ruch kulturalny“.

W okresie romantyzmu, kiedy Polska nie posiadała czynnika, decydującego o jej formach społecznych, to znaczy państwa, naród nie zaprzestał tworzenia dóbr kulturalnych; raczej przeciwnie, wzniósł nasze wartości artystyczne na nieosiągnięte dotąd wyżyny. Fakt ten pozwala na dostateczne obalenie niektórych naszych hasełek w rodzaju: Twórzcie literaturę państwową! Nie rozumiem co oznacza określenie: lite-

ratura państwowa. Jeśli przymiotnik „państwowa" daje literaturze naszej jedną tylko cechę — konieczność powstania jej na terytorium polskim, nie wnikając w treść, w pierwiastki genetyczne dzieła — to śmiało można uznać tego rodzaju twórczość za szkodliwą. Skłaniają nas do takiego stwierdzenia nietylko skomplikowane stosunki narodowościowe w Polsce, ale przede wszystkim panujące obecnie idee artystyczne, niewątpliwie owoce wymienionej koncepcji „państwowotwórczej". Romantyzm uczynił z artysty wieszcza. Wyraz „wieszcz" oznaczał najwyższą odpowiedzialność wobec rzeczy tworzonych, dawał artyście władzę nieomal kapłańską. Dzisiaj, chcąc osądzać oryginalnie każdy przejaw kulturalny, krańcowo przeciwstawiono się kultowi dla wieszczów. Mówi się, że poeta, malarz czy muzyk to tacy sami pracownicy, jak urzędnicy lub robotnicy. Odarto artystę z praw reprezentowania czegoś więcej niż sama praca. Byle kto chwytał za pióro, aby „odbronzowić" tego czy innego wielkiego twórcę. Wywlekał w tym celu różne historyjki z życiorysu artysty, niezbyt dlań zaszczytne i po skleceniu kilku dowcipów, wyciągał wnioski, decydujące o jego twórczości. To modne dziś klepanie po ramieniu wszystkich wybitnych twórców wynikło niechybnie z marksistowskiego sposobu formułowania sądów przez supremację przyczyn nad skutkami. To, że jakiś vie romance doniesie o pijaństwie autora podczas pisania wielkiego dzieła, nie może przecież według zasad najprostszej logiki decydować o składnikach i wartościach samego dzieła. Dzisiejszy poeta czy muzyk wskutek takich sądów łatwo może stać się cynikiem kawiarnianym, jakich wielu obija się o większe miasta polskie. Coraz częściej słyszy się o handlowych zdolnościach naszych artystów. Traktują oni sztu- jak towar. Chodzi tylko o dobrą sprzedaż.

Jest to wynikiem liberalizmu i kapitalizmu, gospodarki dalekiej od zdrowych zasad św. Tomasza z Akwinu. Z tych samych źródeł powstał mieszczański snobizm, który blask wokół artysty-kapłana zamienił w blichtr. Artysta-kapłan stał się mdłym pięknoduchem, którego światopogląd ogranicza się do stwierdzenia, że sztuka istnieje, że jest ona ładna; że zaimponuje się rodzinie pisząc wiersze, lub wystawiając co kilka lat jeden obrazek w IPS-ie. Pięknoduch żyje dniem dzisiejszym, nie wysila się zupełnie, aby stworzyć jakieś własne kryteria artystyczne. Nasuwają się analogie z modnym „Frontem do rzeczywistości" spod firmy br. Jędrzejewiczów. Hasło to zbiera plony w naszej literaturze, pełnej najróżnorodniejszych tworów, gorszych i lepszych, które powstały bądź to wskutek chwilowej koniunktury na jakieś zagadnienie, bądź to na skutek doktrynerskiej postawy wobec sztuki. Żadnych idei, żadnych głębszych konfliktów. Przykład? Choćby tegoroczny „Rocznik literacki", ostro skrytykowany przez większość pism. W „Roczniku" tym wypisują różni panowie różne uwagi o ostatnich pracach literackich;

niektóre proste, inne perfidne w analizowaniu procesów artystycznych; ale nikt z krytyków nie pokusił się o rzucenie jakiejś choćby skromnej idei, którąby świadczyła o świadomej drodze naszej literatury. Właśnie o tę świadomość najwięcej chodzi. Bo sztuka u nas powstaje zbyt przypadkowo. Wszyscy w pracy literackiej są lirykami. Jakże to rzadki fakt, aby pisarz potrafił swoje dynamiczne siły artystyczne skierować na drogę własnej idei, wyrażającej jego najgłębsze instynkty i przeżycia. Polska polityka zagraniczna lawiruje na wodzie międzynarodowej, kłania się co chwila innym państwom; polska literatura ma swego Becka — Kadena Bandrowskiego, który co tydzień w „Gazecie Polskiej" coraz to inne nabożeństwa odprawia na wątpliwą chwałę sztuki. Pisze się i o afirmacji życia i realiźmie, o psychologiźmie i freudyźmie, o państwowości i nadrealiźmie. Czyż do pomyślenia jest w życiu zorganizowanego narodu taki zjazd, jaki urządziła niedawno lewica we Lwowie, na którym uznano Lwów stolicą Ukrainy, gdzie był obecny członek PALu Rzymowski, dziwoląg publicystyki polskiej; niby liberał, niby socjalista?

W swej skromnej pracy literackiej poruszałem zagadnienie epiki. Niech się czytelnikowi dziwnym nie wyda, że i tu je podniosę. Bo epika to objektywizm artystyczny, to świadome operowanie wartościami sztuki, to sięgnięcie do istotnych symptomatów narodowych. Liryka wskutek liberalizmu tworzenia, pozwala na rozprężenie moralne. Do tego przyczynia się współczesny kult dla formy; formy, która sama w sobie jest już dla pisarza przeżyciem. Dlatego też spotyka się dziś wielu poetów, którzy posiadają duże talenty; kościec moralny ich utworów zbyt jest jednak giętki. Mógłbym służyć przykładami, ale oneby przedłużyły zbytnio niniejsze wywody.

Młodzi pisarze, zahukani czasami dzisiejszymi, nie umieją zdobyć się na odwagę, na śmiałe rzucanie własnych haseł; brak odpowiedzialności za rzeczy tworzone wprowadza czytelnika w orbitę różnych wpływów, jakże częstokroć złych. Bo tworzyć — to mało. Należy tak tworzyć, aby każde dzieło artystyczne nasycone było pierwiastkami narodowymi (nie potrzebuję chyba udawadniać, że tylko naród, a więc zbiorowisko ludzi osiadłych, posiadających tradycję, tworzy kulturę), żeby spełniały w kulturze służbę kapłańską. Jak groźny jest objaw obniżania autorytetu pisarza, któremu romantyzm nadawał nazwę wieszcza. Pisarz przecież jest sejsmografem, wrażliwym na najczulsze drgnienia duszy narodu; nie potrzebuje męczyć się nad kombinowaniem państwowotwórczych idei, gdyż idee te tkwią w nim samym. Zrodziły się one przez zrośnięcie z ziemią ojczystą, której dzieje i praca kulturalna wytwarzają wieczne, głębokie idee; nie przypadkowe, ale oparte o konieczność historyczną. Ale pisarz taki musi być pełnowartościowym członkiem narodu, pełnym odwiecznych sił plemiennych. W Polsce — zbyt

wiele pierwiastków obcych w sztuce. Naszą sztukę tworzy wielu żydów, którzy nasycają ją wrogimi pierwiastkami. Walcząc z żydami w literaturze nie walczy się z ich talentami, ale z tym, co te talenty dają. W organizowaniu twórczości kulturalnej Polski trzeba zacząć od odchwaszczenia tej twórczości z elementów obcych i wrogich. Literatura przedrozbiorowa była literaturą szlachecką. Warstwa ta wtedy najpełniej mogła wyrażać i wyrażała przeżycia artystyczne narodu polskiego. Dzisiaj naród polski musi być bezklasowy. Olbrzymie rzesze chłopskie muszą zacząć tworzyć kulturę. Ale narazie dzieje się inaczej. Wieś żyje w nędzy. Chłop, posiadający w sobie najwięcej sił plemiennych, nieprzeżartych intelektualizmem, jak u inteligenta, niechybnie najsilniej, najgłębiej, ze spokojem epickim (życie wiejskie to epika) wyrazi piękno narodowej sztuki. Dzisiaj jego miejsce zajmują albo mdli, przeintelektualizowani inteligenci, albo zgoła ludzie obcego pochodzenia; najczęściej żydzi.

Artykuł „Podstawy organizacji twórczości kulturalnej" porusza ważną sprawę wpływu warunków materialnych na twórczość artysty. Niewątpliwie wpływ ten jest silny. Artysta aby być odpowiedzialny za swe utwory, a w ideach bezkompromisowy, posiadać odpowiednie warunki życiowe. Sam wiem z obserwacji, że wielu młodych pisarzy wskutek biedy dało się omanić agentom komunistycznym. Choćby już z tego względu, należałoby chronić młodzież literacką przed nędzą. Ale trzeba przytym obiektywnie stwierdzić, że przeliryczeni artyści często histeryzują, nawiązując do cierpień metafizycznych, waśnień z Bogiem i t. d. Młodzi pisarze, walczący o kulturę narodową, muszą być zahartowani na wszelką niedolę, gdyż walka o kulturę narodową zacznie się od tępienia wrogów i uświadamiania konsumenta sztuki.

Rozważania dobiegają końca. Jak widać celem ich nie było rzucenie perspektyw w przyszłość, ale zanalizowanie współczesności ze stwierdzeniem, że stan obecny jest zły. Pisałem tu o samej walce. Jeśli chodzi o elementy narodowe jakie po zwycięstwie staną się treścią twórczości kulturalnej, to nie należy ich nazywać. Same one urzeczywistnią się, kiedy udostępnimy kulturę tym, którzy ją powinni tworzyć: prawdziwym Polakom. Ściągnięty do poziomu zwyklizny i szarzyzny pisarz, kapłan duszy narodu, musi stać się godnym kapłaństwa. Siebie samego uświęcić.

Może czytelnik nie będzie zadowolony z tych niewyczerpujących i trochę jednostronnych rozważań. Mówiłem najwięcej o literaturze, ściśle o poezji. Dlatego, że jest mi ona najbliższa. Sam w miarę sił pragnę walczyć o poezję narodową. Obecnie, pracując nad poematem epickim p.t. „Jesteś Polakiem", nasycony jestem wiarą w zwycięstwo polskości w sztuce. Oby ta wiara we wszystkich nas żyła!

„Sól ziemi" Józefa Wittlina

Józef Wittlin napisał książkę p. t. „Sól ziemi". Książka ta została dwukrotnie nagrodzona przez „Wiadomości Literackie", w krótkim czasie ukazała się w drugim wydaniu i spotkała się z entuzjastyczną krytyką w prasie różnych odcieni. W jednym z czerwonych pism pisano nawet: „Autor wstępuje na wyżyny artyzmu w formacie światowym, tym który obowiązuje na stole akademji w Sztokholmie". Książka pisana po polsku, wydana w stolicy Polski, chwalona przez pisma polskie, czytana przez Polaków. Trzeba się poznać z taką książką, o której ktoś z polaków mógł pomyśleć, że godna jest nagrody Nobla. (To nie żarty. Bierzemy więc ją do rąk. Czytamy prolog. Dowiadujemy się z niego, że matka (chyba autora) jest wieśniaczką, a braćmi jego są przedewszystkiem chłopi. Jakiej narodowości — trudno dociec. Można się tylko domyślać, że chyba nie Polacy, bo gdy opuszczał straż nad nimi dwugłowy czarny orzeł austriacki — innego „ptaka", — orła białego, ani dostrzegali na niebie, ani go w sercach nie czuli.

Bohaterem powieści jest Piotr Niewiadomski, a tematem — jego przeżycia na początku wielkiej wojny. Piotr ma być „szarym człowiekiem", a w istocie jest to patentowany kretyn, dziedziczny syfilityk, gamoń, dureń, bez ambicji, bez wad i bez cnót analfabeta, nie zdradzający źdźbła aspiracyj stołecznych i narodowych, wyzbyty tradycji własnego środowiska, typ nieokrzesanego samca i degenerata. Odziedziczył on na Huculszczyźnie po rodzicach chałupę bez gruntu i nazwisko: Niewiadomski. Ojciec jego był „pono" polakiem a „Nazwisko to — bez urazy panów szlachty — nadawano dzieciom, których pater incertus est" — objaśniał autor. Piotr pracuje na stacji pobliskiej, jako posługacz, tragarz, a następnie jest niższym funkcjonarjuszem kolejowym. Ma on dwuch „podwładnyc": psa Basa, którego kocha i dziewkę Magdę, która mu posługuje przy chałupie i jest w miarę potrzeby zmysłów użytkowana.

Piotr żył w brudzie, niechlujstwie, zwiesił pokornie policzki i kopniaki, nie dziwił się gdy go durniem zwano, a marzył — o konduktorskiej czapce. Gdyby był konduktorem — „wyszorowałby łóżko grubą szczotką". Jednym słowem wyjątkowy kretyn, wyidealizowany i wykalkulowany gamoń. Oto kilka charakterystyk: „Mimo ukończonych czterdziestu lat nie wiedział, gdzie jest lewa, a gdzie prawa strona": Ojczyzną dlań był Cesarz, o którym myślał przez duże „On". Analfabeta kompletny, tak że afisze nalepiał dogóry nogami. Cyfry jednak umiał czytać (str. 326). Gdy trzeba było autorowi, Piotr znał się i na rozkładzie jazdy, i na zegarku, i potrafił objaśniać drugich, że: pociąg przyjdzie o godzinie „dwudziestej pierwszej szesnaście" (str. 196). Taki był Piotr, bohater „Soli ziemi".

Na szczęście takich kretynów nie wielu jest w Polsce, choć z książki Wittlina mogło by się zdawać, że jest to przedstawiciel polskiego chłopstwa. Mimo efektów opisowych i pozornej prawdziwości, Piotr jest postacią papierową, nieprzeżytą, jest imaginacją abtrakcyjnego umysłu autora. Tak może sobie wyobrażać chłopa tylko członek narodu nie posiadającego macierzystej warstwy chłopskiej, a więc intelektualista żydowski, mieszczuch, którego drażni zapach huculskiego kożucha, który małomówność chłopa tłomaczy bezmyślnością; tak może sobie wyobrazić chłopa człowiek, który go ani czuje, ani kocha, i niema z nim łączności rasowej, historycznej, religijnej ani, ideologicznej. Jedynym efektem autora jest pogardliwa litość. I nic dziwnego. Dla konsekwentnego materjalisty Piotr jest przede wszystkim kandydatem do sterylizacji.

Jak się posługuje autor swoim typem dla przeprowadzenia swych zamysłów niech nam objaśni scena przed komisją poborową. Scena ta wraz z dygresjami zajmuje 31 stronic. Siedzi Piotr nagi w towarzystwie innych nagich mężczyzn, obok nagiego żyda i czeka na kolejkę oględzin. Krzesła na których siedzieli poborowi „były stacjami pasyjnemi potępionych" — wtrąca autor. Piotr interesuje się nagością sąsiadów, a szczególnie żydów, których pierwszy raz widzi bez chałatów. I cóż go interesuje, co podgląda? Nie to, czego się domyślasz czytelniku, lecz mocno wysunięta grdyka, jabłko Adama. A o czem myśli ten gamoń? Pomyślał o pramatce Ewie, o grzechu pierworodnym, o sakramencie małżeństwa i — zawstydził się nocy spędzonych bez sakramentu z Magdą. Zawstydził się i — ze szczerą skruchą „papierami, które trzymał w ręku, metryką chrztu i kartą powołania (papierem stwierdzającym przynależność swego ducha do Boga i pismem w którem Cesarz upomniał się o jego ciało) zasłonił Piotr Niewiadomski swe przyrodzenie". Tak więc autor nie omieszkał poruszyć na komisji poborowej tematu „przyrodzenia" ale poruszył je w związku z chrztem Piotra, a nie w związku z prawdopodobną ciekawością chłopa — jak, to wyglądają naprawdę żydzi bez chałata. Zostawmy już Piotra. W powieści są i inne typy, bardziej udane, a przedewszystkiem sztabsfeldfebel Bachmatniuk i lekarz wojskowy, żyd-oficer Jellinek. Jellinek jest dobrze scharakteryzowany, a przedstawiony przez autora jako łapownik, tchórz, lizus, wypierający się swych braci-żydów dla karjery, jednem słowem kanalia. Reszta to migawkowe karykatury, potrzebne autorowi do toku rozważań i insynuacyj. Powieść bowiem jest jednym pasmem przemyślanych insynuacyj. Autor nie wypowiada swych poglądów prosto i szczerze, unika ataku frontowego na zohydzane zjawiska, lecz podważa je insynuacjami, pospolitując wyrażenia znieczula wrażliwość na ich mistyczny, czy wzniosły sens, podgryza wartość symboli, i walczy z niemiłym sobie światem idei i przeżyć zarówno plwociną wyszukanej ironji jak i jadem pseudo-biblijnego patosu. Jest to szczególnie skuteczna, choć tchórzliwa metoda.

————

Przy każdej sposobności, potrzebnie i niepotrzebnie, autor napomyka o żydach, poświęcając im w książce kilkadziesiąt dygresyjek, do nich jednak nie stosuje ironicznego jadu. Przeciwnie, mówi o nich z umiarem patosu, krytykując oględnie i w miłym, a nie karykaturalnym przedstawia świetle, opłacając stanowisko bezstronności ofiarą zohydzonego

dr. Jellinka. Gdy opisuje np. wagon-bóżnicę i związane z nią wspomnienia Piotra, nie ma w tem źdźbła szyderstwa (jak np. przy opisie popa Makarczuka, zamiłowanego pszczelarza, który boi się pszczół?). Rozpatrźmy przykład pożegnania rekrutów. Najdłuższą uwagę poświęca autor rozpaczy żydówek. „W ich (żydówek) przekwitłych łonach zawrzały soki i obudził się ten sam ból, który je palił pustynnym żarem w godzinach rodzenia. Zasypany latami wybuchł teraz jak, żar z pod popiołów... Żydówki darły się jak przodownice tragicznych chórów. Hucułki skamlały jak bite suki, niemowlęta kwiliły, psy pod wodzą Basa ujadały... Ksiądz Makarczuk nie przyszedł". Czyż to nie charakterystyczny opis? Żydówki przywodzą na myśl autorowi — chór tragiczny, a autochtonki — suki.

Wittlin, tak samo często jak o żydach napomyka o religii chrześcijańskiej, Papieżu, i ze szczególną lubością używa zwrotów i słów, które dla chrześcijan mają szczególny sens. Gdy np. lekarz-żyd osłuchuje serce poborowego Piotra autor mówi: „Było coś mistycznego w tem objęciu, rzekłbyś: niema komunia pary kochanków". O Papieżu: „Napróżno gwardie szwajcarów strzegły halabardami wszystkich wejść. Śmierć zmyliła ich czujność, i wtargnęła do łoża, na którym leżał starzec Melchior Józef Sarto". Słowa: komunia, sakrament, krucyfiks, Msza święta, Pismo święte, Ewangelia i Bóg rozsiane są po tekście w prowokujących brutalnych zestawieniach, tak, że nie trudno się domyślić zręcznej ochoty profanacji czystszego sensu i brzmienia tych słów. Nieprzyjemnie brzmi dla czytelnika-chrześcijanina w tej książce, która tyle zgrzytów ironji i insynuacji zawiera choćby takie nieszczere porównanie: „czyste niebo, jak błękitna szata Panny Marii..." Gdzie indziej Piotr „zauważył na emaliowanym grzbiecie papierośnicy różowe ciało kobiety, figlarnie wychylone z koronkowych majtek. Uczuł ciepło w plecach i przypomniał sobie Magdę". W następnej chwili, o dziesięć wierszy dalej, takie zdanie: „kto w takiej godzinie dobrowolnie nie posłucha Cesarza, który z krzyża woła, temu sam Jezus Chrystus nie przebaczy na Ostatecznym Sądzie". Od podobnych kwiatków książka się roi. Nie znam autora tej książki i nie wiem napewno czy jest żydem, czy już chrześcijaninem. Gdyby był żydem — nie miałby prawa w książce po polsku pisanej używać i nadużywać tak bezczelnych zestawień i cuchnących insynuacyj. Gdyby już się ochrzcił — byłby poprostu parszywym bluźniercą. Książka ta w każdym razie nie jest pisana dla dobra Polaków. i doprawdy, nie można się dość nadziwić naiwności i brakowi zdrowego krytycyzmu tych Polaków, którzy czytając „Sól ziemi", nie poczuli się obrażeni w swej godności narodowej, tradycji czy poczuciu religijnym i mogli tę książkę chwalić. Czyż trudno w tej książce odróżnić jej pozory od istotnej treści?

Pozorem jest tylko Austria i pogardzane przez nas jej przedwojenne instytucje, a istotą — podgryzanie podstawowych idei i więzi społecznych, profanowanie symboli i — bezbrzeżny, nietwórczy pesymizm. Czyż dla innego celu warto byłoby odgrzewać te zatęchłe wspomnienia?

Nie wiem co znaczy tytuł książki „Sól ziemi". Chyba nie stosuje się on do Piotra — bohatera i jemu podobnych, którzy solą ziemi; a

więc jej bogactwem nie są, i być nie mogą, a są raczej chwastami, strupami — które uszlachetnić i wyleczyć trzeba.

Liczni recenzenci zachwycają się stylem Wittlina. Nam ten styl w zestawieniu z treścią, książki, przypomina styl pewnego dziennikarza-żyda z „Naszego Przeglądu", który stylem, naśladującym Sienkiewicza; pisze filipiki przeciwko Arabom w Palestynie, chłopom przytyckim i „szlacheckiemu najazdowi" Doboszyńskiego na Myślenice. Wittlin pisze stylem patetycznym, biblijnym, (słówko „atoli") okraszonym jak papryką wyrazami nowoczesnymi i błyskotliwymi szmoncesami. Dla Polaka, mającego poczucie narodowej godności i kultury, wszystko jedno czy inteligenta, robotnika, czy chłopa, książka Wittlina jest obrzydliwa w swej tendencji i charaktarze produkcją. intelektu żydowskiego i nie ma w niej źdźbła twórczej dla narodu wartości. W literaturze polskiej, obok dzieł Reymonta, czy też świetnych niekiedy współczesnych pisarzy chłopskich i o chłopach piszących, dla „Soli ziemi" nie ma miejsca, chyba w rubrycc paszkwili.

MARCIN KORZECKI

„Drogi nieuniknione"

Pewnego rodzaju objawieniem była dla mnie książka Jerzego Andrzejewskiego p. t.: „Drogi Nieuniknione". Znalazłem w niej to, czego próżno szukać w znanych wydaniach Mortkowicza, Roju i Gebethnera, a mianowicie prawdę — ta bezsprzeczna prawda „Dróg Nieuniknionych" polega na rzeczywistym wczuciu się w powieściowych bohaterów, na cierpieniu wspólnym wraz z nimi, na głębokim przeżywaniu ich trosk,walk, zwycięstw, załamań. Dlatego, aż gnębi czasami cudowny realizm postaci i zdarzeń, a opowiadania stają się niespotykanie prawdziwe. Tematem, wybranym przez autora jest walka ludzi z życiem, lub raczej z warunkami życiowemi. Ci ludzie walczący, Gielbard, Mojk stoją u kresu, są przeraźliwie wyczerpani, zamęczeni do utraty człowieczeństwa, zawiedzeni na wszystkim i na wszystkich. A byli to niegdyś ludzie dzielni, pełni entuzjazmu, niezmordowani w pracy...

Andrzejewski nie należy do tych pisarzy — publicystów, którzy szpikują swe utwory rozważaniami politycznymi, obraca się śród efektów czysto literackich; poprostu stawia nam przed oczy c z ł o w i e k a, wraz z całym jego nieludzkim cierpieniem i cierpienie to jest tak bezlitośnie prawdziwe, tak bolące, tak nieznośne, że musimy się sami zapytać, jak mu zaradzić. Są te pierwsze dni po przeczytaniu książki, kiedy powstaje natrętnie dziwny wstyd za życie t a m t y c h ludzi... I dlatego pesymizm „Dróg Nieuniknionych" jest twórczy. Przegrana Mojka, czy Gielbarda nie była przecież zależna od nich, stworzyły ją warunki życiowe, warunki te można zmienić. W o l a p r z e b u d o w y rodzi się nieustępliwa i silna, gdy wnikniemy w tragiczny świat Andrzejewskiego.

Książka jest wybitnie psychologiczna. W dwu pierwszych utworach „Koniec" i „Kłamstwa" bohaterowie sami opowiadają o sobie; psychika ich została tu ujęta z nieprawdopodobnym wprost mistrzostwem, spokojnie, kon-

sekwentnie i nadzwyczaj plastycznie. W kilku skondensowanych rzutach przedstawia się nam cały światopogląd owych ludzi, cała ich neutralność, pełne ustosunkowanie się do zagadnień życiowych. Rzeczywiście ma się wrażenie, że ani jedno słowo nie zostało wypowiedziane na marne, każde ma swą osobistą treść i wartość. Poza tym nie rozpływa się Andrzejewski w pobocznych zdarzeniach, co daje granitową jasność myśli. Ostatnie opowiadanie „Ucieczka" jest, moim zdaniem, prawdziwym arcydziełem literatury. Doskonale podkreślony nastrój sanatorjum i charakter jego mieszkańców; tych skazanych i tych, mających jeszcze nadzieje. Sylwetka matki Andrzeja, kobiety zdobywającej kochanka, kosztem synowskiego szczęścia, zarysowuje się silna i sugestywna. Załamanie się jej dumnego charakteru, jej ucieczka z sanatorjum, mają swój wybitny wyraz psychologiczny. Podziwiać trzeba, że w skąpe niemal ramy konstrukcji potrafił autor zamknąć nie tylko wiele charakterystyk i zdarzeń, ale i wytyczne wielkiego zagadnienia. Styl ma Andrzejewski, zimny, obojętny, rzeczowy, to znów przepojony żarem poetyckich metafor.

Prawdę powiedziawszy, zdarzenia są często zbyt ponure, osoby zaś odrażające aż w jakiejś fatalnej pasji, w tragicznym zacięciu — ale, temu już winne chyba dzisiejsze czasy?

J. Z. CZERWIŃSKI

Tak nie było, ale to nic

Trudno dziś pisać o książce Wołoszynowskiego „Było tak..." — tyle już o niej napisano złego i dobrego. Trudno jednak i nic nie napisać — tak jest ona wśród masy enuncjacyj literackich odosobniona.

„Było tak" jest pierwszą w odrodzonej Polsce próbą literackiego ujęcia eposu historii Polski, pierwszym świadomym czynem literata w tworzeniu Legendy Polski; Mitu Wielkiej Polski.

„Było tak". Tak nie było, ale to nic — to nic, że niema w tej książce najnowszych rewelacyj historycznych badaczy, a jest za to wyśmiana przez nich legenda o Popielu i Piaście. To nic, że z książki Wołoszynowskiego historii uczyć się nie można. Daje ona zato to, czego w żadnym podręczniku nikt nie zamknął i nie zamknie — poetycką wizję dziejów, krzepiącą wspomnieniem dni wielkich, a przypomnieniem klęsk, przestrzegającą. Wołoszynowskiego nie zrozumieją przeżarci krytycyzmem i nienawiścią starcy. Rozumieją go, oceniają i odczuwają — ci, którym bliskie jest pragnienie nie tylko poznania, ale i p r z e ż y c i a dziejów Polski — Młodzi.

O. B. KRYNICKI

K R O N I K A

Opracowali: J. Z. Czerwiński, Jerzy Dawiecki, O. B. Krynicki, Stefan Libicki, Wiesław Pyrek.

OSTATNIE PÓŁROCZE było w życiu kulturalnym polskim wyjątkowo ospałe i ponure, a może takie same, jak i wszystkie inne poprzednie, tylko przez bliskość czasową boleśniejsze. Nic się nie zaczęło, nic się nie zmieniło, nic nie wybuchło nieoczekiwanie; przy pewnej dozie zarozumiałości z naszej strony moglibyśmy uważać, że w tym ostatnim półroczu jedynym ważniejszym wydarzeniem było powstanie „Ruchu Kulturalnego“, jako skromnego narazie, ale samodzielnego i dynamicznego wyrazu polskiego Ruchu młodych. Nie można przecież nazwać doniosłym wydarzeniem reformy ortografii polskiej, wprowadzającej rozgardiasz i umożliwiającej panom z Komitetu Ortograficznego zarobek na nowych wydaniach podręczników pisowni. Owszem, odbył się niejeden o światowym rozmachu i zakresie turniej artystyczny, ale

NIESTETY — NIE U NAS. Wielki festiwal filmowy — w Rzymie, wielki festiwal teatralny — w Moskwie, wielki festiwal muzyczny — w Salzburgu. Na „wielkich festiwalach“ nie kończy się życie artystyczne, bez wątpienia. W nich tylko wyraża się moc ekspansywna kultury i dynamika artystycznych koncepcyj narodów. My nie urządzamy festiwalów. Nie mamy pieniędzy, jesteśmy zbyt zgnębieni biedą i zajęci politycznymi kłopotami. Na to zgoda i pretensyj — przynajmniej dziś — nie mamy. Ale z tymi funduszami tak bardzo źle widocznie nie jest — przynajmniej w plastyce — jeżeli dyktator, komisarz czy wódz reprezentacji sztuki polskiej zagranicą, Treter Mieczysław niejaki, może urządzać co pewien czas, to tu, to tam, to w Paryżu, to w Genewie, „reprezentacyjne polskie (wystawy“; o których istnieniu i na wiarę przyjmowanych cierpliwie papierowych sukcesach mamy okazję dowiedzieć się z gazet. Trudno o nich prawdy dociec, czasem się jakiś skandalik ukryć nie da (jak z paryskim żydem, fałszującym rzeźby), ale naogół podobno wszystko pięknie jest i radośnie i prawdziwie „reprezentacyjnie“. Czas już jednak przestać przyjmować na wiarę oficjalne komunikaty, a panów Treterów tolerować, bo to jest

REPREZENTACJA SKANDALICZNA, ta, którą, się Polsce zagranicą robi. Co dwa lata odbywa się w Wenecji międzynarodowa wystawa malarstwa współczesnego; Polska ma tam swój stały pawilon (dwa lata temu zamknięty — z braku pieniędzy). W tym roku — mieliśmy możność przekonać się — wyglądaliśmy skandalicznie. Inne państwa przedstawiły prawdziwą, doborową syntezę swej plastyki, my pokazaliśmy całą salę kubistycznych (?) dociekań paryżanina Makowskiego, szereg żadnych rzeźb i obrazków i — kilkanaście drzeworytów Skoczylasa, tak uwielbianego przez nas „narodowego“ twórcy, którego w Italii przyjęli jednak nietyle jako plastyka, ale jako reproduktora folkloru (Ugo Ojietti, akademik, wybitny krytyk). Nikt w Polsce,

z powołanych do oficjalnego myślenia, nie pomyśli, że na podstawie takich właśnie imprez jak „Biennale“ sądzą nas po tym w świecie. A tymczasem nie urzędnik i nie płatny reprezentator, a za to tłumacz licznych prac polskich autorów, Paul Cazin, wygłosił niedawno z dużym powodzeniem odczyt

W SORBONIE, „O Polsce literackiej i artystycznej“, a profesor Uniw. Paryskiego Robert Garvic, — w Brazylijskiej Akademji — o życiu i twórczości Władysława Reymonta; to jeszcze raz potwierdza, że do reprezentacji Polski zagranicą lepszy jest chociażby francuski Francuz, niż polski żyd. Pewnie myślicie, że przed taką „Biennale“ była w Polsce urządzona jakaś wystawa konkursowa, z której wyłoniono przyszłych wystawców? Nie, nic podobnego. Nawet na cegłę przy budowie państwowego gmachu jest publiczny przetarg. Tworzenie państwowej reprezentacji w sztuce dokonuje się w zacisznych gabinetowych spekulacjach, w ścisłej konspiracji nietylko przed społeczeństwem, ale i przed artystami, (a kierownik wystaw urasta rzeczywiście do rozmiaaru wodza czy dyktatora). Reprezentacja kultury narodowej nie kończy się na udziale w zagranicznych imprezach. Wieczną, dającą się zluzować tylko dynamitem, wartą poziomu i mocy kultury narodowej, jest — na każdym kroku bez dodatkowych pensyj czynna — architektura. Obecnie jest może w takim stanie, że raczej więcej jej potrzeba dynamitu, niż cegły i wapna, ale przecież musi ogrom zadań na przyszłość, prędzej czy później i raczej prędzej niż później, odczuć i zrozumieć. Cała fachowa

PRASA ARCHITEKTONICZNA w Polsce, z wyłączeniem organu Polsk. Tow. Reformy Mieszkaniowej „Dom, Osiedle, Mieszkanie“ od szeregu lat karmi swych czytelników objektami architektury nie mającymi nic wspólnego z istotnymi potrzebami życia narodowego. Są to przeważnie monumentalne, kosztowne gmachy rządowe, i samorządowe, przeznaczone dla rozrastającej się biurokracji. Innego typu ucztą artystyczną są gmachy towarzystw ubezpieczeniowych, będących terenem działalności architektów żydów. Od czasu do czasu spotykamy recenzje z nierealnych konkursów architektoniczno-urbanistycznych, których próby realizacji musiałyby pociągnąć za sobą fatalne skutki ekonomiczne, dając wątpliwe zadowolenie zażydzonej grupce estetów z pod znaku I.P.S.-u, Plastyki i Wiadomości Literackich. Zdarza się czasem, że pisma te zstępują z piedestału swej monumentalności i przedstawiają nam szeregowe domy mieszkalne dla robotników. Są to przeważnie propagandowe wyczyny rodzimych komunistów z Towarzystwa Osiedli Robotniczych, wygodnie rozpartych w fotelach Banku Gospodarstwa Krajowego.

Na tle tej ponurej rzeczywistości z żywym entuzjazmem notujemy ukazanie się na łamach, nundnego zazwyczaj, „Komunikatu S.A.R.P.-u“ Nr. 10 (czerwiec 1936) artykułu architekta Franciszka Piaścika p. t.

„WSPÓŁCZESNE BUDOWNICTWO WIEJSKIE“. Komentarz dla niewtajemniczonych, którzy zdają sobie sprawę z roli wsi w Polsce: Temat ten, który powinien być poruszany najczęściej, był dla architektów najrzadszym, najmniej ważnym, tonącym w powodzi innych. To jest ważne! Podniesienie kultury budowlanej w 4 miljonach drobnych warsztatów rolniczych, jest jednym z naczelnych obowiązków Ruchu Młodych i młodych

polskich architektów-twórców, którzy muszą mieć jedynie słuszne podejście do swej pracy — uznać ją za służbę narodowej polskiej kulturze i cywilizacji. Nasze określenie roli artysty jako odpowiedzialnego wychowawcy, a twórczości kulturalnej jako funkcji narodowego bytowania, dokonane w pierwszym numerze „Ruchu kulturalnego“, nie podobało się p. Stefanowi Kisielewskiemu. Napisał więc

PROTEST przeciwko naszemu stanowisku w lipcowym n-rze „Buntu Młodych“. W artykule „O autonomję problemów kultury“ zarzuca nam „chęć podporządkowania sztuki ideom, czy prawdom pozaartystycznym — społecznym, politycznym, etycznym, wyzyskanie sztuki dla propagandy i służenia tym ideom“. O sobie pisze: „Centralnem mojem założeniem jest autonomja problemów kultury i sztuki, ich niezależność od pozaartystycznych prądów ideowych“. Jednem słowem — Ruchowi kulturalnemu zarzuca bolszewickie podporządkowanie wartości duchowych materjalnym, samemu głosząc hasło odrębności sztuki od wszelkich innych przejawów życia ludzkiego. Otóż w tem sęk. Po pierwsze: Kisielewski twierdzi, że artysta może być albo bolszewickim urzędnikiem od kultury, marksistowskim pracownikiem kulturalnym, albo obdarzonym jakimiś specjalnymi prawami cudownym dzieckiem, pupilkiem ciemnych mas i ich swawolnym Dyziem. Z dwojga złego wybiera drugie. Nie może zrozumieć, że artysta musi być człowiekiem syntezy wielkich możliwości ducha i wielkiego poczucia obowiązku i odpowiedzialności. Musi być — jak to na innym miejscu formułuje Pietrkiewicz — wieszczem narodowym, czyli dążącym do doskonałego odczucia ducha swego narodu i od odpowiedzialnego jego kształtowania. Po drugie: Artysta **nie jest** jakimś nadzwyczajnym stworem, posiadającym monopol na geniusz, wielkość i **wieczność**. Geniusz ludzki jest jeden, niepodzielnie jeden. Przejawia się we wszystkich dziedzinach życia twórczością. W niej tyle jest wieczności, ile zawiera w sobie wiecznych, nieprzemijających prawd rodzaju ludzkiego. Podział taki, że twórczość literacka ma więcej w sobie wieczności, niż np. twórczość polityczna, jest błędny. Natomiast inny jest podział prawdziwy. Okruchy wieczności, jedyne dla człowieka, zawierają się w jego stosunku do Boga. Wszystko inne, stosunek człowieka do siebie, do swych myśli, swej fantazji, do otoczenia, do narodu do ludzkości — to tylko marne, przemijające rzeczy doczesne. I tyle w nich wieczności, ile w nich Boga. Bo geniusz to iskra Boża. Nie tylko zdobycze artystyczne potrafią przetrwać wieki — w każdym okresie zresztą inaczej oddziałując — ale i zdobycze filozofów, polityków i żołnierzy. Każda z nich stara się realizować przecież któreś z oblicz kultury, której treścią — rozpoznawalność prawdziwości piękna i dobra. Wszystko to jednak tylko ludzkie zdobycze. Bogdan Suchodolski, pisząc w „Polsce Zbrojnej“.

„O WIELKOŚCI CZŁOWIEKA“, podkreśla eliminującą miernoty rolę czasu i mówi: „Z pod tej władzy czasu, panującej nad wszystkim, co żywe, dwie są tylko drogi wyzwolenia: śmierć i wielkość“. Wielkość osiągnąć można trzema drogami: twórczością artystyczną, działaniem politycznem, zbrojnem, cywilizacyjnem, oraz — doskonaleniem samego siebie. Bo sam wynik działalności może nie być wieczny: „Mogą zniknąć lub stracić aktualność dzieła czy teorje, ale wieczna jest „żarliwa miłość pięk-

na", poświęcenie idei, wysiłek, wyrzeczenie się, bohaterstwo". A więc nie tylko twórczość artysty. A więc — panie Kisielewski — nie wypada poniżać wysiłku polityka czy żołnierza, bo można być posądzonym o — lęk przed bohaterstwem.

Zrozumienie, że sztuka nie leży w innym wymiarze, że nie jest oddzielona chińskim murem od innych rodzajów wysiłku ludzkiego, wcale twórczości artystycznej nie ubliży, a dopomoże wrażliwym intelektualistom do zaprzestania nieaktualnych, w dzisiejszej epoce syntezy, żądań zachowania — za wszelką cenę, nawet za cenę tolerancji defetyzmu i propagandy zdrady — „autonomii kulturalnej".

MUSSOLINI O ARCHITEKTURZE

Na XIII Kongresie Architektonicznym w Rzymie, zorganizowanym w ubiegłym roku przez Stały Komitet Międzynarodowy Architektów (C.P.I.A.), na którym byli reprezentowani i architekci polscy, Mussolini wygłosił dłuższe przemówienie. Ze względu na to, że jest to pierwsze publiczne zdanie narodowca o architekturze, przytaczamy poniżej ważniejsze fragmenty:

> *„...uważam bowiem, że Architekt to nie jest tylko ten, który stawia kamień na kamieniu, ale przedewszystkiem ten, który jako obywatel swej ojczyzny, jest człowiekiem społecznym i twórczym".*
>
> *„...Uważam Architekturę za pierwszą ze sztuk, — ona bowiem pierwsza nadaje piętno krajowi, w którym buduje, ona jest wyrazem kultury i zamożności. Ona najbardziej przemawia do uczucia, jak obraz ojczyzny".*

(Komunikat S. A. R. P., Nr. 9, luty 1936 r.)

Obecnym numerem „Ruchu kulturalnego" zamykamy pierwszy okres naszej pracy. Polegał on na krytycznej ocenie kulturalnej rzeczywistości polskiej i wyciągnięciu z niej pewnych ogólnych wskazań pozytywnych.

„Kultura polska musi być wielka, tak jak Polska może być tylko wielka albo żadna". Stwierdzenie potrzeby wielkości kultury może być albo ogólnikowym frazesem albo hasłem najwyższym, mobilizującym szeregi twórców do służby pod jego sztandarem; dokonanie tego, aby się nim stało, jest naszem zadaniem na najbliższą przyszłość.

Ruch kulturalny musi się skonkretyzować w potężną akcję kulturalną, akcję ideową, programową i — organizacyjną, aby i w twórczości kulturalnej objawił się odradzający wpływ Polskiego Ruchu Młodych.

W obecnym numerze nie ma artykułu z działu „Wytyczne". Projektowane omówienie w nim zagadnień architektury okazało się zbyt obszerne. Ukaże się ono w ciągu bieżącego kwartału jako oddzielna broszura.

„ALBUM MŁODEJ ARCHTEKTURY 1936".

Zawsze ruchliwy Związek Słuchaczów Architektury wydał swój nowy rocznik pod tytułem:

„ALBUM MŁODEJ ARCHITEKTURY 1936",

obniżając jednocześnie jego cenę do 3 złotych.

Z dużym uznaniem witamy ten nowy owoc pracy młodych architektów, którzy umieli przezwyciężyć poważne trudności finansowe i dać do ręki czytelników wydawnictwo o wysokim poziomie artystycznym. Wprowadzając tłomaczenie francuskie Z. S. A. rozszerzył zasięg swego wydawnictwa poza granice Polski i przyczynił się do propagandy naszej kultury wśród obcych.

Ze swej strony redakcja Ruchu Kulturalnego przesyła życzenia, aby hasło wypowiedziane w Albumie przez Prezesa Z. S. A. „utworzenia Nowoczesnej Architektury Polskiej bez udziału elementów kulturalnie nam obcych" stało się rzeczywistością.

Dodatek do miesiecznika „Ruch Młodych".

Redakcja czynna w pierwszy i trzeci czwartek każdego miesiąca g. 19—20, Wilcza 32 m. 26, tel. 9-89.85.

Zakł. Druk. „KOLUMNA", Warszawa, Nowy-Świat 39